

Tajemnicze oczy.

(Powieść na ile notatek amerykańskich dedektywów).

11

Potem położył wszystko na właściwym miejscu, szafkę zamknął, a otwierał po kolei stoliki, komody, szafy, kuferki. Zaglądał ciekawie za obrazy, za zwierciadła, nie pominął z dnego sprzętu, badał wszystkie meble, wreszcie dostrzegł w kącie elegancki kufer. Zamknięty był na trzy zamki. Otworzywszy kufer, znalazł tu wąską szkatułkę, pokrytą skórą marokańską i dwa cienkie pakietiki. Przypatrzywszy się temu, schował jedno i drugie do kieszeni płaszcza.

Teraz ponownie zajrzał do kufra i spostrzegł czarną torebkę podróżną. Była zamknięta; szczególnie dobrał klucz do niej i otworzył. O mało nie krzyknął z radości. Zabrał ją również ze sobą i wyszedł ze zdobyczą.

W pół godziny wrócił i wszystko tak poukładał na właściwym miejscu, żeby najmniejszy ślad nie pozostał, że tu coś ruszono. Włożył klucze pod poduszkę śpiącej i zniknął.

Zacęło świtać. Laura zbudziła się z głębokiego snu. Była widać czemś zaniepokojona, bo wstała prędko, ubrała się i niecierpliwie chodzila po pokoju.

— Co zrobić? — szeptała do siebie — dowierzać jej nie mogę. Bądź co bądź, mogłaby mnie zgubić. To, co mi wczoraj powiedziała, jest bardzo niebezpieczne. Najlepiej będzie, jeżeli to wszystko wrzucę do wody. Czas ostateczny. Dowieść jej nie mogę.

Wzięła klucze z pod poduszki, otworzyła kufer, wyjęła ową czarną torebkę podróżną, którą się tak bardzo zagadkowy złodziej ucieczył, ukryła ją pod zarzutą i wyszła z domu.

Nikt jej nie wyciął z domowników, bo służba jeszcze spała, a bramę otworzyła sobie kluczem własnym.

Na ulicy było jeszcze zupełnie pusto; Laura zdążyła prędko i nie zwróciła na to uwagi, że ktoś szedł za nią o kilkanaście kroków. Zbliżywszy się do mostu rzuciła prędko do wody wyjętą z pod zarzutki torebkę podróżną. Zatrzymała się chwilę na moście, czekając, rychło torebka zatoni, poczem wróciła do domu. Teraz już nikt za nią nie posłpował.

XXIV.

BAL MASKOWY.

Panna Harris oburzyła się niezmiernie na Kubańczyka. Poszła według adresu, który jej p dał, do owych śpiewaczek angażowanych do Hawanny, lecz przekonała się, że daremnie straciła kilka godzin czasu, bo nigdzie takich kandydatek do sceny nie było. Nie mogła pojąć co to znaczyło? Albo Kubańczyk pomylił się w adresie, albo też owe śpiewaczki z niego sobie żartowały. Oczywiście, że ani na chwilę nie domyślała się ona całej prawdy.

Wróciwszy do mieszkania fałszywej siostry Kubańczyka, spostrzegła list do siebie adresowany, założony za klamkę. Otworzyła go z największą niecierpliwością i przeczytała co następuje:

„Łaskawa pani!

Człowiek, który się pani przedstawił jako Senor Castro, Kubańczyk i dyrektor teatru w Hawannie, jest nikczemnym człowiekiem i zwykłym oszustem. Zważył panią i pani uczennicę do tego mieszkania, ażeby nieszczęśliwą dziewczynę dostać w swoje ręce. Dlatego też wyprowadził panią z domu do nie istniejących wcale śpiewaczek, aby mógł bez przeszkody i bez śladków znęcać się nad bezbronną dziewczyną.

Byłby ją udusił, gdybym w samą porę na pomoc nie pospieszył.

Niechże mu pani żadnej nie użyty pomocy

Ajent policji“.

Śpiewaczka przeraziła się tym listem, a jeszcze bardziej oburzyła na zuchwalca, który wywiódł ją w pole. Ostrożnie i cicho wsunęła się do pokoju Leonory. Zaledwie drzwi otworzyła, usłyszała głos Bradmardina:

— Napadnięto mnie, pomocy! proszę poprzecinać sznury!

W pi rwszej chwili ogarnęło śpiewaczkę jakieś niedowierzenie do listu, który otrzymała. A może istotnie sennora Castro napadli złodzieje, obrabowali go i związali potem, ażeby utrudnić pościg za sobą. Przypatrzyła się skrupowanemu i przez chwilę namyślała, co robić. Przypomniawszy sobie sprawę śpiewaczek, których nigdzie nie było, wpadła na pomysł, aby rzecz sobie wyjaśnić pytaniem o nie.

— A jakież to pan podał adres? Pod tym adresem nie tylko nie mieszkają wcale śpiewaczki, ale nawet domu takiego niema — spyła panna Harris.

— Nie nudź mnie pani temi głupstwami; zapłaciłem pani za to, a i teraz jeszcze zapłacę, jeżeli mi pani pomożesz uwolnić się z tych więzów.

Taka odpowiedź przekonała śpiewaczkę, że list zawierał treść rzetelną. Wtedy nie krępowała się już niczem i bez litości znęcała się nad oszustem:

— I kóż to pana napadł? Może łacy sami Kubańczyk. Jak i pan? Dlaczego wcisnąłeś się do mojego domu, niegodziwy oszuste? Po co się tu wdarł do pokoju mojej uczennicy?

— Daj pani pokój tej głupiej paplaninie, zapłacę ci, ile zechcesz, tylko mi pomóż, abym się stąd czempredziej wydobył.

— O, mój szanowny panie Castro, dyrektorze teatru z Hawanny, wiedz o tem że ja od oszustów pieniędzy nie przyjmuję. A teraz rozmów się sobie, sennor Castro nad tem, że Bóg czuwa nad sielotami i używa im pomocy i ochrony przed takimi lotrzykami. Bądź pan zdrow!

Zasmiała się szyderczo, pobierała swoje rzeczy i wyszła.

Bradwardine piecił się ze złości; liczył na pewne na to, że panna Harris wróciwszy, wyzwoli go z więzów; tymczasem nie tylko mu nie pomogła, ale i to na nic się nie zdało. Zapomniał, że umyślnie wynajął mieszkanie na piętrze zupełnie pustem, ażeby mu nikt w napadzie na Leonorę nie przeszkodził i aby nikt nie usłyszał jej głosu, gdyby o pomoc wołała.

Teraz sam wpadł w te sidła, które na nią nastawił.

Dopiero około godziny 9-ej wieczorem otrzymała straż policyjna kartkę od Stuarta:

„W domu. Wood Street Nr. 8, leży na pierwszym piętrze człowiek skrupowany na rękach i nogach. Jest to wprawdzie niebezpieczny drab, ale na razie można go oswobodzić i puścić“.

Dzięki tej karteczce uwolnił się wreszcie Jasen Bradwardine od tej srogiej pokuty. Przeleżał dwanaście godzin bez ruchu, na twardiej posadzce, skrupowany, oczywiście głodny; więc też poprzysiął straszną zemstę sprawcy tej pokuty. Przez całą noc mimo umęczenia knuł rozmaite plany.

W pierwszych dniach po tej przygodzie zabierał się z zadziwiającą gorliwością do rozczytywania się we wszystkich dziennikach, które jakiegokolwiek wiadomości o arteveldtowskiej tragedji podawały. Najgorliwszy badacz, najsumienniejszy uczony nie mógł bardziej wyczerpać materiału. Skoro całą sprawę poznał najdokładniej, postanowił zemsty dokonać.

Jakoż pewnego dnia przybył do pani Arteveldt z oznajmieniem, że chce z nią pomówić o sprawie nader ważnej. Przyjęła go, a widać umiał ją zaciekawić, skoro go nie tylko u siebie przez całą go zinę zatrzymała, ale nawet potem codzień do niej przychodził.

W kilka dni potem zjawił się w domu pani Arteveldt inny nieznajomy, który pragnął pomówić z panną Kate Scaton, czuwającą wciąż jeszcze jak anioł opiekuńczy nad nieszczęśliwą matką zamordowanego młodzieńca.

Gdy go przyjęła, wręczył jej list następującej treści:

„Oddawcą jest Francis Ferrars, mój przyjaciel i najgorliwszy, najszczerzy obrońca panny L. Ponieważ przybyć nie mogę, przez niego upraszam o wyświadczenie mi wielkiej przysługi. Bardzo mi na tem zależy, abym mógł otrzymać klucze zamkniętego domu Arteveldt. Potrzebuje ich niezmiernie mój przyjaciel Stuart, również najgorliwszy obrońca i najszczerzy przyjaciel p. L. Proszę więc z kluczami po łapic, aby p. Arteveldt o niczem nie wiedziała. W końcu dzielę się z panią miłą wiadomością, że panna L. jest zupełnie bezpieczna. Pełną poważania i przyjaźni

Robert Jocellyn“.

Przeczytawszy ten list podała Kate rękę przyjacielowi i Jocellyn i rzekła:

— Pan Jocellyn nadmienia w tym liście, że pan jest przyjacielem Leonory Armyn. Czy zdrowa?

— Nie tylko zdrowa, ale zupełnie zadowolona, spokojna i zdaje mi się, że zupełnie szczęśliwa.

— A więc jest tutaj, nie wyjechała?

— Tak pani i wyjeżdżać nie potrzebuje, bo wkrótce doczeka się i zupełnej niezawisłości i tego wszystkiego, co jej się z prawa od dawna należy.

— Zaciekawia mnie pan. Cóż to takiego.

— Jeszcze nie pora o tem mówić. Pani najpierwsza dowie się o wszystkim, jako najwiewniejsza przyjaciółka.

— A więc będę cierpliwa. Korzystam ze sposobności, że pana widzę i proszę o doniesienie panu Stuartowi, że się tu przygotowuje coś zgubnego dla Leonory. Chciałam to opowiedzieć panu Stuartowi, ale skoro pan Jocellyn nadmienia, że pan jest wiernym przyjacielem Leonory, pragnę panu to opowiedzieć czempredziej, bo zdaje mi się, że na czasie zależy. Oto opowiadała mi pani Arteveldt, że przybył do niej jakiś pan i przedstawił się jako agent policji angielskiej wysłany do ścigania kobiety, która sfałszowała testament i uciekła z Anglii. Kobieta ta umarła wprawdzie, ale sfałszowany testament przechowuje teraz jej córka, mianowicie Leonora Armyn. Już trzy razy ją pochwycił, ale za każdym razem przeszkodził mu w za rzymaniu dziewczyny jakiś młody człowiek, który udaje agenta policyjnego.

Dowiedziawszy się, że ów młody człowiek łudzi panią Arteveldt, przyrzekując pochwycenie morderczyni jej syna, uważał za konieczne ostrzedz ją i poprosić, aby mu ułatwiła spotkanie się z tym fałszywym agentem policyjnym. Nieszczęśliwa kobieta, złamała na zupełną boleścią po stracie jedynej córki, uwierzyła we wszystko i obdarzała nieznajomego jak największym zaufaniem. Dopiero, gdy zbyt często i zbyt natrętnie przychodził, zaufanie pani Arteveldt cokolwiek osłabło. Zdaje mi się, że ten nieznajomy knuje coś przeciwko panu Stuartowi.

— Dziękuję pani za te wiadomości; są one bardzo ważne. Czy pani widziała tego nieznajomego?

— Starałam mu się przypatrzeć jaknajdokładniej.

— Czy mogła by go pani opisać?

— I owszem.

Kate Scaton tak dokładnie opisała nieznajomego, że Francis Ferrars poznał w nim od razu Jasona Bradwardine.

— Ten człowiek jest zaciętym prześladowcą panny Leonory; czyha na jej życie, bo chciałby jej wydrzeć milonowy majątek, który na nią spadnie dziedzictwem.

Kate Scaton osłupiała.

Leonora Armyn, jej przyjaciółka, córka niezbyt zamożnej wdowy, ma być dziedziczką milionowego majątku! Złota dziewczyna uradowała się niezmiernie, a niemniej też i zaciekawiła i zaczęła gorączkowo zasypywać Ferrarsa pytaniami.

— Już wkrótce dowie się pani o wszystkim, tylko cierpliwości. A teraz, czy mogę liczyć na to, że otrzymamy klucze?

— Postaram się o nie do jutra rana.

— Gdzież się mogę po nie zgłosić?

— Codziennie rano wychodzę na przechadzkę, więc jutro o dziewiątej niech pan czeka na mnie na Avenue Lincoln.

— Dziękuję już z góry imieniem mego przyjaciela Jocellyna.

— A coż będzie z tym niebezpiecznym nieznajomym?

— Już przestał być niebezpiecznym z chwilą, gdy mi pani o nim powiedziała — rzekł uśmiechając się Ferrars i pożegnał się uprzejmie.

Wieczorem tego samego dnia był w klubie ów bal maskowy, na który to Nelly Brown Laure Durand namówiła.

Tłok był wielki, wszystkie sale przepełnione, kostiumy bardzo rozmaite, przeważnie drogie, wspinały, ale nie brakło też i takich, które wymyśliła prawdziwie artystyczna fantazja.

Pośród tłumy krążyły dwie arabki, lśniące cennymi klejnotami.

Jedna z nich zwracała uwagę nie tylko drogocennym ubraniem, ale i niezwyklej spojrzaniem. Miła oczy tak niepospolite, tyle w nich było demonicznej siły, tyle wyzywającej śmia-